

A photograph of a dirt road winding through a dense forest. The road is light brown and leads from the bottom center towards the middle of the frame, where it disappears into the trees. The forest is composed of various green trees and bushes, with some taller trees visible in the background. The sky is a pale blue, visible at the top of the image. The overall lighting suggests a bright, sunny day.

Paweł Marek BRONICKI

TAM ZA ZAKRĘTEM

opowiadania

Paweł Marek Bronicki

TAM ZA ZAKRĘTEM

OPOWIADANIA

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

[Kup książkę](#)

© Copyright by Paweł Bronicki & e-bookowo

Grafika i projekt okładki: Paweł Bronicki

ISBN 978-83-62480-55-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2011

*Dziecko znajduje wszystko w niczym,
Dorosły nie widzi niczego we wszystkim.*

Giacomo LEOPARDI

Spis treści:

WSTĘP	6
WYSZLIFOWANI	11
MASKOTKA	20
PRZYSTAŃ	38
PIĄTEK: 9.00	58
DMUCHAWIEC	100
BOCZNICA	168
DRUŻYNA	225

WSTĘP

Szanowny i Zaczny Czytelniku

Oto masz przed sobą zbiór opowiadań. Jest ich tutaj siedem. To znana liczba, ba, nawet bardzo. Potykamy się o nią codziennie, ale i od święta. Wyznacza bieg naszego życia. Towarzyszy nam od narodzin aż po grób. Bywa naszym celem i drogowskazem. Bo przecież siedem miała krasnoludków sierotka Marysia, a i sama „siódemka” jest chociażby tak zwaną liczbą szczęśliwą. Tak jak i te opowiadania: szczególne, wyjątkowe, niepowtarzalne. Dla mnie na pewno, bo są częścią mnie, opisują bowiem świat, jaki przeżywałem wszelkimi swymi zmysłami przez te wszystkie lata, od kiedy zacząłem je pisać, a będzie tego już prawie trzydzieści lat. To szmat czasu. I kawał mnie samego zostawiony, zapisany albo wprost, albo między wierszami.

Ale dzięki nim jesteś w stanie poznać mnie takim, jaki jestem. Obnażyłem bowiem całą swą duszę. Przekazałem następnym pokoleniom to, co myślę, co czuję, czego pragnę.

Lecz niosą też sobą wartości uniwersalne. Jakie? Dowiesz się, gdy tylko je przeczytasz. Dlatego uważam, że ze

względu na swój charakter i poruszaną tematykę, staną się również bliskie i Tobie, drogi Czytelniku. Głęboko w to wierzę. Ba, jestem wręcz przekonany co do tego.

Za chwilę przeniesiesz się w siedem magicznych światów. Krajobrazów pisanych piórem mojej wyobraźni za podpowiedziami nagle pojawiającej się Weny. Lecz zanim każde z nich powstało, ludzie, zwierzęta, sytuacje, wreszcie ogólnie życie przyniosły nagły impuls zmieniający się w mgnieniu oka w inspirację. Dały narzędzia i czas, bym mógł w tych siedmiu niezwykłych wypowiedziach uwiecznić wszystko to, co zobaczyłem, czego dotknąłem zarówno materialnie, jak i duchowo.

Ich tematyka jest różna. Każde z nich opowie Tobie inną historię, ale też spowoduje, że po przeczytaniu każdego z nich poczujesz się inaczej. Wciągnie Cię. Zmusi do myślenia. Zbulwersuje. Zachwyci. Odrzuci. Ale też wycisnie łzy. Skruszy głązy. Ściśnie za serce. A nawet spowoduje, że będziesz chciał rzucić tym tomikiem o ścianę z okrzykiem „Giń! Przepadnij! Nigdy nie wracaj!” Ale zapewniam Cię, że po chwili, kiedy emocje opadną, wrócisz z powrotem do napisanych w tym tomiku wyrazów. By zatrzymać się. Znaleźć swoje miejsce na ziemi. Ochłonąć. Zastanowić się. Pomyśleć. Złagodnieć. Zapomnieć. Wyciągnąć wniosek. Znaleźć drogowskazy.

Oj, zagrają na Twoich emocjach jak wirtuoz na instrumencie, którego najlepiej zna i ćwiczy na nim od lat, doskonaląc się w swoim rzemiośle. Zagrają tak, jak gra na nich nasze życie. Bo są wszak jego odzwierciedleniem. I znajdziesz go tu. Pod maską powierzchowności. Musisz jednak najpierw spojrzeć na nie szerzej, sięgnąć głębiej

aniżeli podpowiada pierwsze wrażenie. Pierwsza rodząca się myśl.

Stać Cię na to i na pewno jesteś w stanie to zrobić. Wierzę w to.

Szczytem marzeń byłoby, gdybyś odnalazł w nich chociaż część siebie. Niewielką. Mikroskopijną. I żebyś choć w nikłym procencie utożsamiał się z jednym chociaż zawartym tu zdaniem. To znaczyłoby, że pracę swoją wykonałem należycie i że ma to wszystko sens. Bo taki przyświecał mi cel podczas ich tworzenia.

Kolejność opowiadań nie jest przypadkowa. To taki trick filmowy, w którym aktorzy pojawiający się w napisach końcowych umieszczani są tam według kolejności nie alfabetycznej, a pojawiania się na ekranie. I ja zastosowałem tutaj podobną metodę. A wszystko dlatego, że kiedy w 2006 roku postanowiłem zebrać wszystkie rozproszone po notatkach opowiadania i szkice opowiadań w jedną komputerową całość, zacząłem ich szukać. To była żmudna praca. Oprócz tego, że pośród wielu różnorodnych zapisków trzeba było odnaleźć odpowiednie części tych samych utworów, to wielokrotnie trzeba było je zrewitalizować (szczególnie te z okresu młodości), a potem to wszystko jeszcze przepisać. Trwało to tak długo (sześć lat), ponieważ po drodze przyszła jeszcze kilkakrotnie Wena, usiadła na ramieniu, zaczęła szeptać to i owo, co zostało zamienione na kolejne utwory. Poza tym nie dysponowałem zbyt dużą ilością czasu, a wszystko, co robiłem odbywało się zazwyczaj kosztem wolnego po pracy. Stąd ostateczny kształt tomiku został mu nadany dopiero teraz w połowie 2011 roku. Z tych to powodów kolejnością

umieszczenia opowiadań w tej książce rządzi taka właśnie reguła. Nie ma to wpływu na nic. A wyjaśniam to tylko po to, by nie doszło „przy okazji” do snucia jakichkolwiek przypuszczeń czy też teorii spiskowych.

Jest jeszcze jeden aspekt sprawy, na który warto w tym miejscu zwrócić uwagę. Otóż, chodzi o pomysły, a właściwie to miejsce, z którego je czerpałem. Kiedyś mówiono, że leżą one na ulicy, wystarczy się schylić. I tak było. Brałem je z życia. Z codzienności. Z otoczenia. Lecz z czasem, w miarę rozwoju cywilizacyjnego doszło do modyfikacji owego powiedzenia. I tak pomysły owe zacząłem poszukiwać w Internecie. Wystarczyło tylko kliknąć i już były. To niezgłębiona skarbnica doznań i pomysłów. Dlatego sięgnąłem do niej. Warto było. Mimo wszystko. Pomimo tego, że musiałem nieraz oszukiwać bliskich, gdy trzeba było zaczerpnąć wiedzy lub znaleźć pomysł gdzieś w mrokach Internetu. Ale nie żałuję ani jednego momentu przesiedzianego przed komputerem, ani jednej chwili spędzonej z obcymi, nieznanymi mi osobami, zarówno w poszukiwaniu jak i realizacji nasuwających się pomysłów.

Na koniec chciałbym jeszcze serdecznie podziękować tym wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że napisałem te utwory. To wielka, bezimienna armia kolegów, koleżanek, znajomych i zupełnie przypadkowych osób, ale i zwierząt, roślin, wydarzeń, których nie jestem w stanie tutaj wymienić z imienia i nazwiska czy też pseudonimu. Niech oni wszyscy pozostaną anonimowi, tak będzie lepiej. Dla nich, ale też, by Ciebie Czytelniku w żaden sposób nie ograniczać, czy też nie ukierunkowywać. Dziękuję

Wam wszystkim. Za to, że byliście, że spowodowaliście sobą lub swoim zachowaniem to, że mogłem tworzyć słowa i budować z nich zawarte w tej książce różnorodne światy.

Tu również należą się słowa podziękowania wydawnictwu e-bookowo, które dało mi możliwość wydania tych opowiadań, a bez wsparcia którego nie mógłbyś dzisiaj mieć tego egzemplarza przed sobą.

A i Tobie, zacny Czytelniku, również należą się słowa podziękowania. Za to, że sięgnąłeś do tej książki.

Myślę, że nie zawiedziesz się i czytając ją uświadczysz się w przekonaniu co do słuszności podjętej decyzji.

Teraz już nie pozostało mi nic innego, jak życzyć Tobie miłej i porywającej lektury.

Z poważaniem.

Autor

Warszawa, Legionowo 8 czerwca 2011 roku

MASKOTKA

Jestem Mike. Mały, pluszowy niedźwiadek. Niektórzy, a zwłaszcza Ci, którzy długo i bardzo dobrze mnie znają, nazywają Miki. Tak zwyczajnie. Prosto. Nie traktuję tego ani jako błędu, ani obelgi. Pozwalam im na to traktując jako swoisty skrót myślowy.

Począty zostałem dziesięć lat temu. W miejscu szczególnym. Na desce kreślarskiej. W kreślarni największego chińskiego projektanta zabawek.

Parę miesięcy później przyszedłem na świat, będąc kolejnym, cudownym dzieckiem szczęśliwego małżeństwa: ludzkiego geniuszu i niezawodnej techniki. Miało to miejsce na taśmie produkcyjnej największej w Szanghaju korporacji zabawkowej. Razem ze mną zeszło tego dnia w tym miocie blisko sto tysięcy podobnych do mnie stworzeń. Tak samo, jak ja doprowadzonych do perfekcji zarówno pod względem zdobniczym, jak i materiałowym. To się dopiero nazywa rozmach, mieć tak liczne rodzeństwo.

Od razu otrzymaliśmy szczególną misję. Mieliśmy być skazani na sukces. Mieliśmy zalać sobą rynki całego świata. Być w każdej witrynie sklepu z zabawkami. Gama ko-

lorów, pięknem i delikatnym dotykiem swego futerka przekonywać przechodniów, że wydanie na nas pewnej kwoty pieniędzy jest bardzo dobrym interesem. Wbrew pozorom wcale nie mieliśmy sprzedawać się drogo. Nasza cena była wystarczająco niska, by przeciętny człowiek mógł sobie na nas pozwolić nie nadszarpnąwszy zbytnio napiętego zazwyczaj do granic niebotycznych, budżetu domowego. Takie zadanie do zrealizowania zostało nam postawione już na etapie naszego poczęcia.

Nic więc dziwnego, że byliśmy piękni. Każde z nas, jedno do drugiego podobne, jak dwie krople wody, przypominało swoim wyglądem misia pandę. Różniliśmy się tylko między sobą kolorami futerek. I tak ja miałem to najładniejsze: czarno-siwo-białe. Większość moich braci była odmiennych barw, spośród których najbardziej popularnymi okazały się jaskrawe kolory, takie jak żółty, pomarańczowy, czy ciemnozielony. Wszyscy natomiast mieliśmy dwie cechy wspólne: czterdzieści deagramów wagi i osiemnaście centymetrów wzrostu.

Ze swoimi braćmi nie było mi dane długo przebywać, bowiem zaraz po zejściu z taśmy produkcyjnej każdego z nas, w tym oczywiście i mnie, zamknięto w pięknie zdobionym, prostokątnym kartoniku opatrzonym plastikową szybką z przodu. Pięćdziesiąt takich opakowań włożono do wielkich białych kartonów, by na koniec każdy z nich wysłać w innym kierunku świata.

W swoim domku czułem się jak w klatce. Było tam tak ciasno, że nie mogłem rozprostować kończyn. To skandal, żeby ktoś taki, jak ja, przez tak długi okres czasu miał zapewnione warunki gorsze niż śledź w beczce. Ale nic nie

mogłem na to poradzić.

Nim pozwolono mi wyjść z tego ciasnego pomieszczenia, minęła chyba wieczność. I tak nie miałem co narzekać, bo po wyjęciu z kartonika, natychmiast postawiono mnie w wielkiej witrynie nowojorskiego sklepu. Takim oto sposobem znalazłem się obok trzy razy większego ode mnie czołgu z plastiku.

Reszta pięćdziesięcioosobowej wycieczki trafiła gorzej, bo na sklepową półkę gdzieś w głębi sklepowego zaplecza.

Tak więc los okazał się łaskawy dla mnie, tym bardziej, że obok znajdowało się mnóstwo różnych zabawek. Ciekawe, czemu zawdzięczałem ów zaszczyt i możliwość oglądania świata? O ile szerokość ulicy, to świat. Zależy jak, dla kogo?!

Dla mnie wtedy to był cały świat. Dzisiaj to tylko szerokość ulicy. Cóż, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, a właściwie to stania. A te – wtedy i dzisiaj – są i były jakże różne. Wówczas to było wszystko, co miałem, nie ma się więc co dziwić, że cieszyłem się, iż mogę cokolwiek oglądać. A dzisiaj? Nawet bym nie spojrział na to wszystko. I tak było to o wiele lepsze od ciasnego, ciemnego i śmierdzącego farbą drukarską kartonika, w którym mnie przecież przetransportowano przez ocean. Cieszyła mnie jeszcze jedna rzecz. Otóż mogłem swoje futerko, do którego pani ekspedientka ostrą szpilką przyczepiła zasłaniającą moje prawe oko karteczkę z napisem „15\$”, okazywać przystającym po drugiej stronie dzieciom i dorosłym. I w ten właśnie sposób marzenia mojego producenta ziszczały się. A i moje też, chociaż wtedy jeszcze tego tak nie poj-

mowałem. Zrozumiałem to dopiero po jakimś czasie. Znacznie później.

Pomimo tego, iż patrzyłem tylko jednym okiem, dobrze widziałem, jak niektóre z istot przystających po drugiej stronie dzielącej nas szyby, patrzyły niejednokrotnie pożądliwym wzrokiem w moim kierunku. Z początku bardzo mi się to podobało, bo wszyscy się mną zachwycali. Jednakże w pewnym momencie poczułem się jak dom wystawiony na licytację. Fala początkowego entuzjazmu zaczęła się szybko cofać, a na mnie prócz drobinek kurzu zaczęła spadać niechęć i nieufność. Widziałem, jak zginęły gdzieś iskierki z oczu zatrzymujących się ludzi. A i ja z czasem zatraciłem swą świeżość. I piękno. A te istoty, po tamtej stronie szyby, wciąż przystawały, patrzyły takim miłym, ciepłym wzrokiem. Lecz odchodziły. Rzadko która wchodziła do sklepu, a jeśli już weszła, to nigdy nie pytała o mnie. Nie wiedziałem, komu mam wierzyć: sobie czy twórcom. Zwątpiłem w swoje piękno. Gdybym mógł się zawstydzić, na pewno uczyniłbym to.

Tymczasem nadal stałem w sklepowej witrynie i czekałem na dzień, w którym uśmiechnie się do mnie szczęście, szukając wciąż w tłumie kogoś, kto by mnie kupił.

Mijały dni, a może i miesiące, a ja wciąż stałem i stałem. Nikomu niepotrzebny. Samotny. Opuszczony.

Jednakże pewnego dnia wszedł do sklepu mały, nieśmiały chłopczyk. Oczami ledwie sięgał lady sklepowej. W sklepie było czterdzieści dziewięć innych podobnych niedźwiadków, ale on zażyczył sobie właśnie mnie. Dlatego poprosił panią ekspedientkę o to, by ta zdjęła mnie

z witryny sklepowej. Czego nie robi się dla dzieci?! Kobieta za ladą uległa jego namowom i pozwoliła mu uczynić to osobiście. Po sekundzie zostałem wybawiony z miejsca, do którego zdążyłem się już przyzwyczaić. Wydawało mi się, że przyrosłem do niego. Wziął mnie w ręce, ucałował, a po wyjściu ze sklepu – przytulił do piersi. Wiedziałem, co oznaczają te gesty, chociaż nikt mnie ich nigdy nie uczył. W tych sprawach zresztą, jak i we wszystkich innych byłem samoukiem, ale takie rzeczy rozumie się samo przez się.

Nie ukrywam, że zawsze marzyłem o czymś takim, więc byłem szczęśliwy, bo oto nagle dziwnym zrządzeniem losu spełniły się marzenia. Najskrytsze sny. Oto w końcu ktoś się mną zainteresował. Stałem się dla kogoś ulubioną zabawką. Przynajmniej tak to wtedy wyglądało.

Chłopiec pędem pobiegł do domu i postawił mnie na honorowym miejscu – na środku półki. Potem długo wpatrywał się we mnie. Nawet uśmiechał się wielokrotnie. Byłem bardzo szczęśliwy.

Ale w chwilę potem lądowałem na ulicy wyrzucony przez okno. Sprawcą tego nieszczęścia był jego ojciec, który wpadł w furję, gdy dowiedział się, na co jego głupi syn (tak go nazwał w przypiływie emocji zakończonej spraniem go wielkim, skórzanym pasem) wydał ostatnie pieniądze. Przy tym zapowiedział mu szlaban na wszystko przez najbliższy miesiąc.

Płyty chodnikowe były bardzo twarde! Pamiętam to dokładnie. Upadek ten bardzo mnie zabolął. Najbardziej jednak chyba wewnętrznie. Chłopiec odniósł mnie z po-

wrotem do sklepu, a po odebraniu należnej kwoty spojrział na mnie raz jeszcze przez załzawione oczy i bez słowa odszedł. I tyle go widziałem.

Chciało mi się płakać, ale zabawki podobno są bezduszne. Żal mój pogłębił się w momencie, kiedy zobaczyłem, że moje miejsce w witrynie sklepowej zajmuje czarno – zielono – czarny brat. Dopiero wtedy zrozumiałem złośliwość losu. Jego kaprys wszak do tego doprowadził. Uświadomiłem sobie natychmiast, że odtąd jedynym miejscem mojej egzystencji będzie mały kartonik, w którym przyjdzie mi spędzić życie do końca moich dni. I niewiele się pomyliłem, albowiem pani ekspedientka włożyła mnie do owej rzeczy i powędrowałem w niej na półkę dzielając tym los pozostałych moich braci. Znowu zapanowały niepodzielnie ciemność i ten doskwierający fetor farby drukarskiej.

Przez najbliższy, jakże długi okres czasu, pozostałem sam na sam ze wspomnieniami chwil spędzonych za szynką wystawową oraz myślami o pierwszym moim właścicielu. To było takie gorzkie, a także smutne, że gdybym tylko potrafił płakać, nie darowałbym sobie i zapłakałbym.

Jednakże pewnego dnia coś szarpnęło moim domem i po chwili poczułem, że lecę w skorupie, w której się znajdowałem. Po kilku sekundach upadłem na coś miękkiego. Co było dalej, nie pamiętam, bo zemdlałem. Dopiero po paru godzinach, gdy otworzyłem oczy, ujrzałem światło dzienne. Rozejrzałem się wokół i po chwili zobaczyłem, że postawiono mnie pod wysoką (koniec jej ginał gdzieś pod sufitem), bardzo gęstą choinką z rozcapierzo-

nymi zielonymi igłami. Przybrana była różnokolorowymi świecidełkami, bombkami i łakociami oraz srebrnymi i złotymi łańcuchami, które serpentynowo oblekały ciemnobrązowe i pachnące żywicą gałązki. Chwilę potem trzymał mnie w swoich dłoniach brzdąc z uradowaną miną, który energicznym ruchem wyjął mnie z miejsca, w którym się znajdowałem i podniósł na wysokość swoich oczu. Lazurowy bodaj miały kolor.

I znowu zacząłem wierzyć w to, że mogę być komuś potrzebny. Niestety pomyliłem się. W parę dni później zostałem ofiarowany drugiemu brzdącowi. Ten z kolei przekazał mnie swojemu koledze. I tak kursowałem z rąk do rąk, jak pałeczka podczas biegu sztafetowego, nie zagrzewając w nich, długo miejsca. To nie byłoby takie złe, gdyby wraz z tym przyszło miejsce w czyimś sercu. Niestety. Ale wreszcie któreś ręce (to były chyba dziewięte z kolei) przekazały mnie jako prezent paroletniemu chłopcu umierającemu w szpitalu na nieuleczalną chorobę. Tak twierdzili wszyscy wokoło. Był to podobno rak krwi.

Miałem zatem zostać jego maskotką i chyba nią byłem, bo bardzo mnie lubił. Ja go również.

Lecz on zmarł. Znowu zostałem sam. Nikt, kompletnie nikt się mną nie zaopiekował.

Dopiero kilka dni później jakaś pielęgniarzka wrzuciła mnie do wielkiego wiklinowego kosza, z którego przy pomocy zsykowej rury dostałem się na śmietnik. Tu też nie było mi dane długo egzystować, bo któregoś dnia pracownik zakładu oczyszczania miasta znalazłszy mnie tam, zabrał ze sobą. W domu wykąpał, wysuszył i następnego

dnia zaniósł do pobliskiego sklepu, a tam sprzedął za niewielkie pieniądze.

Deja vu?! Lecz tym razem nie trafiłem na wystawę a wręcz przeciwnie, wepchnięto mnie w najdalszy kąt półek sklepowych, wśród których przyszło mi żyć kilkanaście miesięcy. Po tym czasie, w związku z likwidacją branży, właścicielka sklepu wystawiła mnie wraz z innymi przedmiotami na licytację.

Kupiła mnie na niej zgrabna jasnowłosa kobieta, która wrzuciwszy do pękniętej siatki zaniósła do domu. Tu włożony zostałem do szarego kartonu. Leżałem obok ołówków, kolorowych ciuchów i pluszowych psiaków. Wszystkich nas potem zapakowano w paczkę zrobioną z tego kartonu i wysłano pocztą w nieznane. Do kraju, którego ani położenia nie znałem, ani jego nazwy nigdy nie słyszałem. Do Polski.

Kolejny raz światło dzienne ujrzałem dopiero po bardzo długim okresie czasu, kiedy dłonie trzynastoletniego chyba chłopca wydobyły mnie z mroków pudełka i osadziły na półce jasnej meblościanki. Odtąd przyszło mi wieść długie, samotne jak pustelnik życie, które trwało około sześciu miesięcy. Z nowego miejsca wiało nudą, gdyż tak, jak zostałem postawiony na nim, tak pozostałem tu w niezmienniej scenerii. Poza tym nic ciekawego się wokół nie działo. No za wyjątkiem osiadającego wszędobylskiego kurzu.

Do mojego nowego właściciela, którego wszyscy nazywali Sebastianem, przychodziło wielu ludzi. Niektórzy z nich nieraz przejawiali mną nawet spore zainteresowa-

nie. Nieliczni tylko przechodzili obok mnie do porządku dziennego. Wśród gości, którzy przewalili się w tym czasie przez pokój Sebastiana, był tylko jeden, którego stosunek do mnie był szczególny – przynajmniej tak mi się wydawało. A może to była prawda?! Podobno był to starszy o siedem lat od mojego właściciela, jego kuzyn. Na imię miał Marek. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, miał na twarzy wypisaną tragedię. Poznałem go tego samego dnia, w którym zaległem na półce w sebastianowym pokoju. Pamiętam, jak dziś, że właśnie Marek wziął mnie w swoje szorstkie, spracowane dłonie i oglądał chwilę jakąś, jakbym był nigdy przez nikogo niedotykanym najcenniejszym na świecie klejnotem. Przypominam sobie dokładnie, że strużka łez popłynęła po jego policzku i po chwili, jak oparzony postawił mnie na półce. Zrobiło to na mnie tak niesamowite wrażenie, że od tego momentu głowę nie miałem niczym innym zaprzątniętą, jak właśnie Markiem. Moją kotwicą? Deską ratunku?! Chyba to w nim upatrywałem.

Długo go potem nie widziałem, ale nie mogłem o nim zapomnieć. Tęskniłem za nim, jak za ukochaną osobą. Wielokrotnie pragnąłem spocząć znowu w jego szorstkich, spracowanych, ale jakże drogich i sprawiedliwych dłoniach. Nie znałem go, a jednak był mi bliski. Głupie, nie?! Lecz prawdziwe.

Co chwila stawał mi przed oczyma ten jego tragiczny wyraz twarzy, prześladując mnie jak mara. Wielokrotnie próbowałem dociec w swoim gąbkowym mózgu przyczyny tego stanu rzeczy, ale nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na pojawiające się co chwilę pytania. Pozostawały bez od-

powiedzi. Niestety.

Z czasem poznałem prawdę, ale to było ładnych parę miesięcy później. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, ba nie przyszło mi nawet na myśl, że on jest moim lustrem. Odbiciem. Moim zwierciadłem. Echem.

Nim Marek zjawił się ponownie u Sebastiana minęła wieczność. Tym razem gościł tam pięć dni. Czy wyobrażacie sobie, jak się cieszyłem? Aż skakałem do góry z radości. A jak on się cieszył, że ja nadal byłem tam, gdzie byłem. Ponownie wziął mnie w swoje dłonie i od tego momentu już mnie nie opuścił wciąż się mną bawiąc. Jestem wszak pluszową zabawką, jestem zatem do zabawy stworzony, więc nic w tym dziwnego, że on pierwszy spośród tak wielu zrobił dla mnie tak wiele prawie niczym. Opiekował się mną ciągle, nawet śpiąc nie wypuszczał z rąk. I wtedy to stało się coś, czego nigdy się nie spodziewałem. Widząc, że podobam się Markowi, Sebastian podarował mnie jemu właśnie. Jakaż radość rozświetliła twarz ofiarowanego, gdy w końcu stałem się jego własnością. Rozpromieniał się powoli. Najpierw nieśmiało, jak letni wietrzyk. Potem pełniej. W końcu przeistoczył się w gorący, wielki i nieokiełznany przypływu wielkiej radości. I nagle zapalałem do niego niespotykanym dotąd uczuciem – wielką, spontaniczną miłością. Nagłą, taką od pierwszego wejrzenia.

Chyba wtedy go pokochałem. On mnie zapewne też.

Podróż do jego domu spędziłem leżąc na dnie wielkiej brązowej torby. Niewygodnie mi tam było i straszliwie ciemno. Czymże jest jednak każda z tych niedogodności

w obliczu perspektywy zdobycia czegoś wyśnionego, utęsknionego? Czegoś oczekiwanego, a wciąż niedoścignionego, które za chwilę miało się urzeczywistnić? Niczym. Na szczęście nie trwało to długo.

U Marka jestem od dwóch lat i poznałem go już chyba pod każdym względem. Przynajmniej tak mi się wydaje. Kocham go. Bardzo. I on mnie też kocha. Do niedawna miałem tylko taką nadzieję, ale dziś jestem pewien. Jest moim przyjacielem. I ja jestem tym samym dla niego.

Od momentu, w którym wyzwolił mnie z półkowego marazmu u Sebastiana, stałem się jego towarzyszem doli i niedoli. Zawsze i wszędzie. Na dobre i na złe, chociaż częściej chyba na to drugie. Nie było chwili, abym przy nim nie był. Dlatego też stałem się niemym świadkiem części wydarzeń, które przyczyniły się niestety do jego zniszczenia. Z godnością przyjmowałem od niego każdą serca rozterkę, każdą łzę poniewierki. Byłem sternikiem, żeglarzem i okrętem. Kapitanem łodzi, która tułała się w poszukiwaniu Itaki szczęścia płynąc przez wzburzone morze istot przychodzących i odchodzących tak szybko jak przyszły. A on był Odyseuszem poszukującym wciąż Feaków. Ja mu w tym pomagałem, jak mogłem. Z milczeniem i cierpliwością wysłuchiwałem jego częstych utyskiwań przyjmując każdą wypowiedź, wsłuchując się w każdy jego monolog. Towarzyszyłem mu zarówno w chwilach radosnych, jak i smutnych, zawsze podtrzymując go na duchu i przynosząc otuchę, której jakże często potrzebował. Rzadko mi o tym mówił, ale ja wyczuwałem, że właśnie tego ode mnie oczekuje. I robiłem to najlepiej jak umiałem.

Widziałem też jak wygląda ludzka podłość, nienawiść, niewdzięczność. Byłem dla niego niejednokrotnie kołem ratunkowym. Szczególnie wtedy, kiedy ludzie, których tak kochał, którym ufał, wierzył do zagonnie i których nigdy nie pozwalał nikomu skrzywdzić, wysysając z niego wszystko, co szlachetne, rzucali go na głęboką, nie zawsze czystą wodę. To dzięki mnie regenerował siły, napelniał się znów dobrocią, miłością, pięknem, choć huragan dziejów starał się zmieść go z powierzchni ziemi.

Przynosiłem mu też szczęście, gdy zabierał mnie na egzaminy. Szkolne, lecz i życiowe. Byłem dla niego swoistą alfą i omegą.

Świat, w którym przebywał był odzwierciedleniem jego duszy. Wtłoczył mnie w niego zaraz po przyjeździe i natychmiast pokochałem go od pierwszego wejrzenia. Stworzony został w jego małym pokoiku, który z całego trzy-pokojowego mieszkania wyalienowany został jak przed laty Berlin Zachodni z terytorium NRD. Panowała tam specyficzna atmosfera, w której człowiek czuł się bardzo skrzępowany, przytłoczony małością pomieszczenia, ale i grozą czyhającą na każdego w każdym elemencie, każdym szczególnie dekoracyjnym tego pomieszczenia. Gdybym mógł wyrazić swoje odczucia w prosty sposób, powiedziałbym, że historia mieszała się w nim z teraźniejszością. W pokoju wyczuwało się prawa dialektyki, które uderzały w zmysły z najmniejszego skrawka ściany, z najdrobniejszego fragmentu przestrzeni. Ściany – pomalowane na ciemno-wrzosowy kolor – jeszcze bardziej pomniejszały pokój. Przy jednej z nich stało stare, wielkie, dębowe biurko zabierając ponad połowę wolnej prze-

strzeni. To na blacie znalazłem dom dla siebie. Dom – dobrze powiedziane – kawałek wolnej przestrzeni tylko dla mnie, ot cały dom. Za sąsiadkę miałem niewielką stojącą lampkę z zielonym abażurem i silną, mleczną żarówką. To właśnie przy tym meblu i w blasku tej żarówki Marek zazwyczaj odrabiał lekcje, czytał książki i pisał wiersze, które potem mi recytował oczekując recenzji. Podały mi się, ale nie potrafiłem wyrazić swoich uczuć. Poezji się nie wyjaśnia, poezję się kocha. Marek tworzył też opowiadania, ale nigdy mi ich nie przeczytał, wrzucając je do jednej z dwóch szuflad pod blatem biurka i nigdy potem do nich nie zaglądając.

Resztę przestrzeni zajmowało nowoczesne i składane na dzień w fotel, łóżko – miejsce do odpoczynku, wspomnień i zadumy – oraz wysoka do sufitu i wąska na kilkadziesiąt centymetrów szafa z półkami uginającymi się od książek. Dwie pozostałe ściany zajęte zostały przez okno a także drzwi wejściowe do pokoju, za którymi świat ten się urywał. To właśnie przez to okno wielokrotnie patrząc w gwiazdy i wyszukując wśród nich znanych sobie konstelacji czekał, aż owiewający go wietrzyk przyniesie sobą wenę twórczą.

Na ścianach wisiało mnóstwo plakatów o tematyce fantastycznej, pomiędzy którymi szalona ręka Marka umieściła wielkiego szmacianego Smerfa z kolczykiem w prawym uchu i owiniętą wokół jego szyi żmiją, miecz z epoki Conana, na który nabity został zabawkowy wąż oraz wspomnienie wielu górskich przechadzek – prawdziwą ciupagę wprost z Zakopanego. Wszystko to umieszczone ręką poety i estety jednocześnie.

Największymi sprzecznościami, choć stanowiącymi jedność, był targany jednak blat biurka, gdzie dusza Marka zrealizowała się chyba najpełniej. Przestrzeni wolnej było tam niewiele, wręcz w ogóle, ale właściciel kompletnie nie dbał o to. Aby napisać albo przeczytać cokolwiek, zawsze znajdował bowiem miejsce przesuwając któryś z przedmiotów. Mnie o, dziwo, nigdy nie dotknął, co bardzo mi schlebiało.

Blat zapełniony był wszystkim, co mu przypominało dawne lata, dawnych ludzi, którzy zazwyczaj wycierali sobie jego imieniem usta, którzy przekazywali go sobie z rąk do rąk jak pałeczkę podczas biegu sztafetowego, którzy licytowali się między sobą, kto częściej wypowie jego imię. Tyle po nich zostało. Garstka rupieci, które zalegały blat biurka. I tak w wielu przypadkach zbyt dużo.

Wśród nich były maskotki, zdjęcia, osobiste przedmioty porozrzucane na blacie w chaosie, jak myśli w głowie. W tym bałaganie każdy z przedmiotów miał jednak swoje ustalone miejsce. Nawet, gdy je opuszczał, to zawsze wracał do pierwotnego położenia. Czego tam nie było? Samowar. Prawdziwy. Dziesięć figurek z „Muppet Show”. Gumowy dinozaur. Trzy gry logiczne Rubika, wśród nich ta najślawniejsza – kostka. Jakiś pluszowy miś. Dartanian przebrany za postać psa. Kotek z króliczej skórki. Stary, niesprawny zegarek na rękę. Zdjęcie ładnej i zgrabnej blondynki w przyciemnianych okularach. Porcelanowy wazon ze starogreckim wzorkiem na obwodzie. Miniaturowy, ale wiernie odtworzony model ciężarowego samochodu. Sarta cienkich książek. Woskowy Mikołaj. Trzy Smerfy. Niebieski gwizdek sędziowski. Stojąca lampa. No

i ja.

Każdy z tych przedmiotów pozornie niemy, statyczny, niekiedy wypchany, tak naprawdę żył w swoim wnętrzu życiem tego, który był jego właścicielem, zanim nie stanął na blacie dębowego biurka. A Marka wyobraźnia kierowała każdego z nich poczynaniami napęlniając ich nią tak, jak się napęlnia balon gazem tuż przed wylotem.

Ja też żyłem tak, jak one. Nim dowiedziałem się o tym minęło wiele, wiele miesięcy.

Marek traktował mnie szczególnie, ale nigdy w oczach swoich kolegów nie zauważyłem krzywego spojrzenia, nienawiści, czy niechęci. Każde z elementów biurkowego blatu było częścią potężnej budowli, piramidy, która pozwalała mojemu właścicielowi wiedzionemu obrazami przeszłości i marzeń podążać swoją łodzią ku Itace. Z czasem poznałem wszystkie stworzenia i przedmioty z blatu biurka. Z wieloma zaprzyjaźniłem się, lecz w moim sercu szczególne miejsce zajmował tylko Marek. Podobnie, jak ja w jego sercu. Tylko mnie zwierzał się ze swych problemów i kierował się wraz ze mną w jakimś nieznanym mi kierunku. Wysłuchiwałem go zawsze, milczeniem pomagając mu, bo w żaden inny sposób nie potrafiłem.

Coraz bardziej jednak stawał się samotny i coraz mocniej zakorzeniał się w nas – jego maskotkach i pamiątkach wydarzeń z dawnych dni. Coraz częściej pojawiały się w jego oczach łzy i niestety coraz smutniejszy miał wyraz twarzy. Był w pewnym momencie jak statek, co w środku morza tonie, choć statków obok niego tysiące.

Przez ten trudny czas bardzo się zmienił. Z istoty po-

godnej i patrzącej z optymizmem, której jedynym celem w życiu było nieść szczęście każdemu, niezależnie od tego, jaki do niego stosunek miało serce, stał się wrakiem człowieka. Pomimo tego, że opanowała go frustracja nie wytracił w sobie wszystkich walorów, którymi był obdarzony. Nie gasła w nim praca i chęć pomocy, choć radość niestety zniknęła bezpowrotnie z jego oblicza. I wtedy to zaczął coraz częściej zamykać się w swoim pokoju, do którego nikt z czasem nie miał prawa wejść bez jego zgody. Bałem się, że zwariuje, ale on chciał żyć tylko wspomnieniami, skoro rzeczywistość nie pozwalała wzbogacać wnętrza nowymi doznaniem.

Pewnej nocy po raz pierwszy pokierował nami poprzez swoją wyobraźnię. Zatańczyliśmy przed nim szalony taniec wyzwolenia. Tak mu się to spodobało, że powtarzał to później prawie każdej nocy. Zawsze towarzyszył temu ten sam rytuał. Rozpoczynało się to około północy. Różnie, raz przed, niekiedy tuż po, ale nigdy równo o dwudziestą czwartą. Marek podchodził do okna i szukał Wielkiego Wozu. Kiedy odnajdywał go, myślami błędził po dawnych latach tak długo, aż chłód na tyle dawał mu się we znaki, że musiał przymknąć okno. Wtedy zasiadał do biurka i w nikłym świetle lampki rozpoczynał zaklęcie: „JESTEŚCIE ZABAWKAMI, KTÓRE POZORNIE NIE MYŚLĄ, ALE PRZECIEŻ WY RÓWNIEŻ POSIADACIE DUSZE. CHODZI TYLKO O TO, ABY JĄ ZNALEŹĆ I ZROZUMIEĆ. ZA CHWILĘ WSTANIECIE I ZATAŃCZYCIE TANIEC, KTÓRY WYRAZI WSZYSTKO TO, CO CZUJECIE. KOCHAM WAS ZA TO I JEDNO-CZEŚNIE NIENAWIDZĘ!”

Po tych słowach, natychmiast, bo dosłownie w kilka sekund, stawaliśmy się gotowi do tańca. Nie wiadomo skąd napływała muzyka, więc rozpoczynaliśmy taniec. On wyrażał wszystko. Tęsknotę. Wiarę. Nadzieję. Miłość. Radość. Szczęście.

Przyspieszając z chwili na chwilę w tym szaleńczym tańcu, nagle zastygaliśmy w połowie rytmu i zatrzymywaliśmy się w całkowitym bezruchu. Nasłuchując. Oczekując. Nie wiedzieć, czego. Marek wodził wtenczas po nas swoim przenikliwym wzrokiem, jak szperacz po scenie, aż zatrzymywał go utkwionego w moją postać. Potem chwilę przekazywał mi swoje myśli, aż w końcu zasiadał do kartki papieru i zapisywał to wszystko, co przed sekundami usłyszałem od niego.

Powstawały wtedy pełne smutku wiersze i opowiadania.

I tak w kółko co parę dni.

Dziś, kiedy patrzę na niego mam głowę nabitą myślami. Teraz śpi spokojnym snem, lecz jakże często w swoim życiu miał z tym problemy, budząc się w środku nocy złany potem, wystraszony, oczekujący pomocy, która nie nadchodziła.

Lecz za chwilę zbudzi się i od powitania ze mną rozpocznie swój kolejny, trudny jak każdy, dzień. Setki ludzi weszło w jego duszę i serce razem z chwilami z nim spędzonymi tak, jak się wchodzi do hotelowego pokoju, a on mimo to nadal trwa i egzystuje.

Podziwiam go i z dnia na dzień coraz bardziej zachodzę w głowę, jaka jest między nami różnica? Co dzieli nas. Co

łączy?

I nie wiem już doprawdy, czy to ja jestem nim, czy też może on jest mną?

Bolesławiec, wrzesień 1989 roku.



Oto Ja – Paweł Marek BRONICKI. W całej okazałości. Kim jestem? Po pierwsze – Polakiem. Z dziada pradziada. Z krwi i kości. I na dodatek dumnym z tego niezmiernie.

Po drugie – człowiekiem. Zawsze i wszędzie, niezależnie od sytuacji i nastroju. W świecie poezji i prozy zaś jestem Nikim. Osobą bez dokonań (żadnych), istotą bez nazwiska (uznanego). A tak na

poważnie – w życiu jestem przede wszystkim głową szczęśliwej rodziny (żonaty od 1991 roku, córka, syn oraz ja). I jestem szczęśliwy, że ich mam, bo dzięki nim realizować mogę swoje marzenia i przenosić na papier to, co serce podpowie, a dusza ubierze w proste słowa.

Wiersze i opowiadania piszę od ponad dwudziestu lat i dopiero teraz udało mi się je wydać, ponieważ dotychczas lądowały raczej w szufladzie, jak na półce czy ladzie sklepowej.

Marzę, abyś Ty zabiegany, zaganiany Czytelniku zatrzymał się na chwilę, przeczytał zebrane w tym tomiku opowiadania, zadumał się przez chwilę, zastanowił i pognął z nimi w dalszą drogę inaczej spoglądając na świat. Tak niewiele wymagam od Ciebie – chwili.

Oczekuję też dogłębnej krytyki, wszak nie ma idealów. Odczucie czytelników jest dla mnie najważniejsze, dlatego proszę o wszelkie komentarze do mojej twórczości pod poniższy adres: pabro68@poczta.fm. Każda sugestia, każdy przesłany komentarz przyczyni się do rozwoju mojej twórczości.

Pozostaje mi tylko żywić nadzieję, że z jednej strony na tym tomiku nie zakończy się moja twórczość a nasza współpraca (moja z Tobą, Czytelniku) będzie kwitła w przyszłości.